Nr. 11. Lwów, dnia 1. czerwca 1907. Rok XXX.



Wpisowe do Towarz. (jednarazowe) 4 korony.

Wkładka roczna członka 10 koron = 10 marek = 5 rubli.

ŁOWIEC

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

Adres i bliższe wskazówki — patrz okładka inseratowa „Łowca“.

Biuro gal. Towarzystwa łowieckiego: ulica Jagiellońska l. 3, II. piętro.

XI ZJAZD ŁOWIECKI.

Jedenasty Zjazd łowiecki odbędzie się dnia 2 lipca b. r. Walne Zgromadzenie odbędzie się tego samego dnia o godz. 10 rano w sali obrad gal. Towarzystwa kredytowego ziemskiego, ul. Karola Ludwika l. 1, popisowe zaś strzelanie na wojskowej strzelnicy rozpocznie się **punktualnie** o godz. 2 popołudniu.

Regulamin strzelania, który tylko drobnym ulegnie zmianom, podamy w następnym numerze „Łowca“ i w osobnych odbitkach w dniu Zjazdu.

Dnia 1 lipca b. r. o godzinie 10 rano w tejże sali gal. Towarzystwa kredytowego ziemskiego radca ces. Huber będzie miał nader interesujący odczyt o wielkiej międzynarodowej, jubileuszowej wystawie łowieckiej, projektowanej w r. 1910 we Wiedniu, na który wszystkich członków naszych i myśliwych najgoręcej zapraszamy.

Spodziewamy się, że i ten Zjazd zgromadzi nas wszystkich jak najliczniej, tak w sali obrad, jak i na strzelnicy.

Przypominamy, że według postanowień regulaminu, obowiązującego na strzelnicy wojskowej, wolno będzie strzelać do tarcz ruchomych (do dzika i do lisa) tylko zwykłemi kulami ołowianemi, strzelanie więc wszelkiego rodzaju kulami płaszczykowemi do tarcz wspomnianych będzie zupełnie wykluczone.

Ogłoszenie.

Podpisany Komitet ogłasza niniejszem, że zamierzone urządzenie myśliwskiej wystawy galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego w połączeniu z tegoroczną wystawą przyrodniczo-lekarską, do skutku przyjść nie może. Powodem odroczenia rzeczonej wystawy jest okoliczność, iż wobec licznych trofeów zgłoszonych do obesłania tej wystawy — wyznaczony na ten cel pawilon okazał się wręcz za mały.

Ostateczna decyzya co do właściwego terminu urządzenia myśliwskiej wystawy, która wobec licznych zgłoszeń zapowiada się wspaniale a w zbyt ciasnym, wyżej rzeczonym pawilonie, wypadłaby marnie — zawisłą będzie od uchwały tegorocznego Zjazdu galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego.

Celem osiągnięcia pomyślnego skutku w głosowaniu za urządzeniem wystawy łowieckiej, pożądanym jest liczny udział Członków w tegorocznym Zjeździe myśliwskim.

Za Komitet:

Juliusz hr. Bielski
prezes.



Z życia wilków karpackich

skreślił

Jan Marcinków
delegat pow. dolińskiego.

(Ciąg dalszy).

Po półtoragodzinnym marszu przyszedłszy na miejsce, na którem się wilk przechorował, ku memu niemałemu zdziwieniu, spotykam świeże ślady wilka i brak leżącego ścierwa. A że już zmrok zapadał, a do domu było jeszcze daleko, następnego zaś dnia straszna zawierucha śnieżna uniemożliwiała tropienie, zaniechałem dalszego poszukiwania. W lecie dopiero owczarze odnaleźli już prawie zupełnie zgniłego wilka, w oddaleniu około kilometra od miejsca, gdzie ścierwo powtórnie spożył.

Tak więc ze zgrai 7 wilków padło 5, a pozostały jeszcze dwa czyli parka, stary pies i stara suka, które nie dały się w żaden sposób „wziąć na kawał“.

Parka ta włóczyła się po lesie, robiąc spustoszenia w zwierzostanie przez całą wiosnę, lato i następną zimę, nie chcąc nigdzie dotknąć zatrutego ścierwa.

Dziwnym zbiegiem okoliczności suka ta pozostała jeden rok jałową, zapewne, aby nabrać sił do wydatniejszego, następującego miotu.

I faktycznie tak się stało. W następnym roku powiła nie mniej nie więcej, tylko 9, mówię dziewięć malutkich szczeniaków. Pewien owczarz, który z owcami dzień i noc na pobliskiej połoninie przebywał, usłyszawszy wycie starych wilków a następnie skomlenie młodzieniaszków, podsunął się następną dzienną porą, uzbrojony w siekierę i spory kij, aż pod ich legowisko tak blisko, że mógł szczenięta policzyć, jednakowoż zobaczywszy starą „mamusię“ nadciągającą, zmyknął ze strachu czemprędzej do swego szałasu, a stamtąd w galopie do mnie do leśniczówki, oddalonej o dobre 2 godziny chodu.

Na tak miłą wiadomość, udałem się natychmiast w towarzystwie strażnika na miejsce, układając już po drodze plany, jak to szlachetnych rodziców położymy trupem a dziatwę spakujemy do worka a następnie gdzie do jakiej menażeryi wyexpedyujemy.

Po prawie trzygodzinnym marszu dotarliśmy do wilczego barłogu, jednakowoż jakie było nasze rozczarowanie! O wilkach już ani śladu, tylko trochę suchej podściółki z trawy i turzycy z samury. Troskliwa, a nader nerwowa mamusia, poczuwszy pewien niepokój przez dostęp ludzkiej nogi tj. owczarza, zabrała familię i uniosła w niewiadomym kierunku, gdzieś w niedostępne wertepy, zworów i skał karpackich. Wszelkie przeszukiwania, nawet przez kilka dni, spełzły na niczem.

Od czasu do czasu słyszałem wycie starych wilków, nawet miejscami dość często napotykałem rozdarte łanie, jednakowoż zdybać się z nimi osobiście nie miałem przyjemności.

Dnia 10. lipca tegoż samego roku, o godzinie 11-tej przed południem, siedząc na ganku spostrzegłem, naprzeciw pomieszkania w odległości 300 kroków całą czeredę piesków burego koloru, wszystkie jednej maści, maszerującą ścieżką konną po uboczy góry.

W tej chwili porwałem za strzelbę, zabrałem ze sobą jeszcze i jednego chłopa, gdyż wiedziałem dobrze, co to za goście.

Niestety jednak, nim zdołałem dotrzeć do miejsca, gdzie bandę widziałem, zastałem tylko ślady na błocie całej czeredy młodych wilków, które pod dowództwem pieczołowitej mamusi, a może tatusia, maszerowały na dół, gdzie się jednak podziały, nie było możliwem odszukać, gdyż maliniaki i ożyny zwyż metrowej wysokości uniemożliwiły wszelkie dalsze poszukiwania.

Tak więc ta zgraja wilków urosła do jesieni do potężnej siły wraz z „rodzicami“ — w liczbie 11 i sprawowała się w rewirze całkiem odpowiednio, jak na nią przystało.

W październiku osierocił familię jeden strażnik sąsiedniego okręgu gospodarczego z Polanicy, zabijając i wyrywając z grona rodziny „tatusia“ — została więc „wdowa“, z dziewięciorgiem „sierotek“.

Co ta banda przez zimę za spustoszenia robiła, to straszne pomyśleć, co chwila można było spotykać łanie lub jelenie rozdarte i to jej wszystko uchodziło płazem.

Przy intenzywnej manipulacyi leśnej, która w ogóle zimową porą w kolosalnym rewirze mizuńskim się odbywa, trudno mi było wskutek pilnych a ważniejszych zajęć gospodarczych poświęcić więcej czasu na tępienie tych drapieżników, więc chwilami od czasu do czasu pozatruwałem resztki łań, jednakowoż wilki tego nie tykały, bo nie miały potrzeby i gustu na skostniałe od mrozu ścierwa, jeśli co chwila mogły mieć świeżą pieczeń.

Gdy jednak zanadto zaczęła mi ta zgraja grasować po lesie, poświęciłem jeden tydzień, rozkładając w kilkunastu punktach najrozmaitsze smakołyki dla wilków, bo wilk jest poniekąd smakoszem.

A więc porozkładałem pozatruwane zające, sarny, łanie, barany, gęsi, kaczki, indyki, psy, koty itd.

Niestety, wszystko nadaremne, pomimo, że wszelkie ostrożności co do odwietrzenia śladów nóg i rąk, jak najściślej zachowałem.

Nie mając jednak czasu zajmować się dalej temi trutkami, odniosłem się do Zarządu, względnie Dyrekcyi z prośbą o wydelegownnie jakiego specyalisty, któryby się wyniszczeniem tej zgrai wilków zajął.

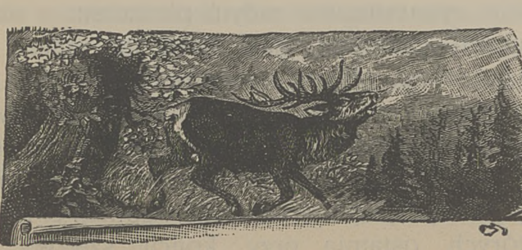
W krótkim czasie więc wydelegowano jednego „kunstmistrza“ w osobie c. k. leśniczego L. z Jabłonowa, który coś około 85 wilków miał już zniszczyć.

Gdy tenże zjawił się i zasiągnął odemnie bliższych informacyi co do poczynionych kroków tępienia, oświadczył mi, że jego wiedza i „kunszt“, nawet tak daleko nie sięga, i że nie może zrozumieć, dlaczego wilki trutek nie biorą.

Przespacerowawszy się następnego dnia przez rewir, gdzie w ciągu dnia nie mógł nawet czwartej części poprzecznej drogi rewiru przejść, i gdy zobaczył prawie niezmierzone morze lasu i niebotycznych gór przed sobą a w dodatku prawie na każdym kroku tropy jeleni, otworzyły mu się oczy i przekonał się, co za kolosalna trudność wilka w Karpatach dostać.

Po dłuższej naradzie spróbował jeszcze jednego ze swoich najradykalniejszych środków, a mianowicie, zastrzelić barana, włożyć na 12 godzin do obornika, następnie zatruć strychniną, wywlec na przesmyki wilcze i ustawić na kołeczkach tak, aby się zdawało, że baran stoi na nogach. — Spróbowano więc i tego; — jednakowoż bezskutecznie — ale też i dziwny był to zbieg okoliczności, jak długo p. L. bawił w Sołotwinie t. j. przeszło 8 dni — tak ani jeden wilk się nie pokazał; — równocześnie zaś z jego odjazdem t. j. tego samego wieczora — spędziły wilki łanię na rzekę i rozdarły.

(C. d. n.)



Naturalna ochrona lasów.

Leży to już w twórczej naturze człowieka, że nie zadowolając się tem co posiada, obcych szuka bogów i zamiast ulepszać systemy stare, coraz to nowe tworzy. Dobre to i konieczne w miarę ogólnego rozwoju, lecz nie zawsze jest lepszem od tego, co było. Kiedy badamy Naturę, widzimy, że wszystko jest tak urządzone, iż człowiek z potężnym swoim rozumem nie jest wstanie twierdzić, że lepiejby zrobił. Cel i przeznaczenie każdego stworzenia tak z góry jest oznaczony, że zbyteczną chyba jest rzeczą, by człowiek chciał go zmieniać, uznając w swym rozumie, iż jest on chybiony. Naraziłby się na śmieszność.

Niezawsze jednak Natura jest w stanie zadaniu odpowiedzieć a zwłaszcza gdy jej przeszkodzą. Wtedy tylko ten, co przeszkodził, pomódz jej może do spełnienia zadania, jakie sobie wytknęła.

Któż jednak może Naturze przeszkodzić? Syn jej własny: Człowiek, który zarazem jest i jej panem. Człowiek jeden może zmieniać pęd wiatru, bieg rzeki i potoka, wstrzymywać pioruny i chmury gradowe, wreszcie skracać wolność i życie innym stworzeniom. Nie jest jednak w stanie w każdym wypadku odwrócić to, co raz już uczynił. I wtedy żal będzie już po szkodzie!

Gdy myślą przeniesiemy się w lasy, w lasy dawne dziewicze, imponują nam wielkością nietylko obszaru lecz i drzew pojedynczych, imponują swym szumem i spiewami ptaków, którym dały schronisko.

Są to lasy, względnie były, gdzie człowiek nie był w stanie zbadać „przepastnych ich krain“ gdzie człowiek z interesu w ich szum się nie mieszał. Rosły więc drzewa bez pomocy ludzi, rosły duże i większe od tych, które dziś jeszcze spotykamy. Natura sama je trzymała, Natura je siała i natura przed zniszczeniem broniła. Siał więc wiatr świerki i sosny, siała z nim dęby i sojka, wreszcie cała gromada małych i dużych stworzeń, dbała o ich całość, usuwając skwapliwie to, co im szkodzić mogło. Rósł więc las tak długo aż zobaczył człowieka, który bez pytania wdarł się w jego wnętrze, ponaznaczał drzewa, porobił alee i ścieżki i z jego dawnego miejsca nietylko go usuwał, rżnąc w tartakach deski, lecz i jego mieszkańcom wojnę wypowiedział.

Upadł las stary pod ciosem siekiery, zaśpiewały mu requiem ptaszki i przeniosły się tam, gdzie ich podobny los spotyka.

Las upadając zostawił nasiona, które człowiek w własnym interesie posiał, by mógł znowu ciąć deski, wabić doń i strzelać zwierzynę.

Powstał las nowy, nie taki wprawdzie jak pradziad, lecz rzadszy i cieńszy, nie tak szumiał potężnie i nie tak spiewał jak tamten, gdyż nie miał tylu gościnnych pokoi dla opery skrzydlatej. Cóż się jednak dzieje? Oto z czasem las zaczyna żółknąć, liście opadają i kora się kruszy, bo jakiś gość nieproszony chce z człowiekiem do spółki należeć i niszczy go wcześniej, nim człowiek pomyśli.

To owad różnego rodzaju, nie widząc swych wrogów pierzastych, podniósł dumnie głowę, i niszczy. Niszczy na wiosnę, w lecie i jesieni, niszczy we dnie i w nocy, a choć człowiek się spostrzegł i ochronę wymyślił, to mimo tego już nieraz za późno i z pięknego lasu zostaje drzewo suche i zjedzone, zdatne tylko na opał. I nieraz wszelkie tery i szczepienia, wszelkie smarowidła i inne środki ochronne nic nie pomagają i tylko do jednej straty drugą dodają.

Jakżeż więc Natura w lasach pierwotnych chroniła swe drzewa, jakich używała leków? Jeżeli przyglądniemy się życiu mieszkańców tych lasów, tym milionom ptactwa, nietoperzy i jeżów, to do bardzo ciekawych dojdziemy wniosków i rezultatów, i spostrzeżemy, że im więcej las spiewał, tem mniej miał nieprzyjaciół, gdyż w własnym interesie spiewaków leżało, chronić swe mieszkania przed wrogiem, a że i mięso nieprzyjaciół wstrętnem im nie było, przeto miliardy owadów, jaj i gąsienic ginęły w gardłach zwierząt i ptaków. Przypatrzmy się tylko, jaki procent spiewaków żyje w naszych lasach i obliczmy rachunkiem, ile ginie owadów. Nie będę tu z ściśle naukową dokładnością wymieniał pocztu szkodników leśnych i zastępu ich wrogów czworo i dwunożnych, lecz mniej więcej przejdę przez te szeregi i nie własnemi, lecz uczonych naturalistów i leśników spostrzeżeniami, będę się starał wykazać, jak ważną rolę w rozwoju lasu odgrywają ptaki i jakie wobec tego człowiek ma zająć stanowisko.

Prócz zwierząt owadożernych, do których kreta, jeża i nietoperza zaliczamy, największy procent spiewaków leśnych zjada owady te, które niszcząc drzewostan stają się ruiną lasów. Mimo, że między nimi t. j. ptakami, są i szkodliwe dla lasu indywidua, to jednak korzyść, jaką nam przez zjadanie owadów przynoszą, równa się co do wielkości szkodzie, jaką wyrządzają owady. Bo choć dzięcioł oskubie trochę drzewo z kory, choć drzewo przez to choruje, to wśród tego tyle zniszczy owadów, jaj i gąsienic, że gdyby one żyły i dalej się rozwinęły, nie jedno lecz setki drzew by zmarniały. Zacznijmy zatem wyliczać najważniejsze szkodniki, i przypatrzmy się, ilu wrogów w ptasim rodzie mają. Według porządku przyjętego przez Dra R. Hessa w „Ochronie lasu“ na pierwszy plan jako szkodnik występuje chrabąszcz majowy, (melolontha vulgaris, gemeiner Maikäfer). Sam owad niszczy w maju i czerwcu tak szpilkowe jak i liściaste drzewa, choć te ostatnie chętniej, zato pędrak wieku dwu do trzech lat obgryza młode drzew korzonki bez wyjątku, czy to świerk, sosna, jodła lub modrzew. Do nieprzyjaciół jego liczą jeża, borsuka, kreta i mysz z czworonogów, między ptakami ma on ich legiony. I tak pędraka szczególniejszą opieką otaczają wrony, kawki, szpak, który nieraz po kilka pędraków naraz w dzióbie do gniazda przynosi i mewa śmieszka. Owad jest znowu przysmakiem sów, kozodojów, dzierżb, myszołowów, pustułek i szpaka, z których ostatni tylko soczystym kadłubem się cieszy. Z tego też powodu radzi Dr. Hess urządzać dla szpaków jak najwięcej gniazd, gdyż jak później zobaczymy, im więcej szpaków, o tyle tysięcy a nawet milionów mniej owadów jaj i pędraków.

Drugim szkodnikiem ważnym jest tzw. wryjek lub wołek, duży, bronzowy z 2—3 żółtymi poprzecznymi znaczkami. Naukowa nazwa (Hylobius abietis L. Kiefern — oder Fichten Rüsselkäfer).

Jako owad obgryza 3—6 roczne drzewka świerkowe i sosnowe, choć i młodszemi nie gardzi. Lecz nietylko świerki i sosny ogołaca z kory, także bowiem i jodły, modrzewie a nawet dęby i brzozy niszczy. Od maja począwszy toczy drzewa do września.

Nieprzyjaciółmi jego są: wrona, kraska, szpak, rudzik i wiele innych. (C. d. n.)

ALBERT MNISZEK.

Przegląd naszych ptaków łownych.

(Ciąg dalszy).

5) **Sokolik drzemlik** (Falco regulus, vel aesalon, cerchneis merilla, der Merlin- oder Zwergfalke). W szczęce górnej ząb, cecha sokoła. Długość ciała 27 do 30 cm., skrzydła złoż. 20 do 25 cm. To ostatnie nie dosięga końca ogona o 3 cm., a więc od ogona znacznie krótsze, czem głównie od innych sokolików się różni. Pierwsza i druga lotka przed końcem wycięta.

Stary ptak posiada wierzch popielaty (nigdy rdzawy) podłużno wąsko upstrzony, obróżkę rdzawą, gardziel białawą, spód rdzawo płowy, czarno podłużnie strychowany, ogon z wierzchu popielaty, z czarną szeroką przedkońcową pręgą, białawo zakończony. Tęcze ciemno brunatne, woskówka i nogi żółte.

Młody ptak od starego różni się ciemno-brunatno-szarym płaszczem z rdzawem obrzeżeniem piór, obrożą płowo białawą, szaremi (a nie czarnemi) kreskami na płowym lub białawym spodzie, wreszcie ogonem z wierzchu szaro-brunatnym z 5 do 6 rudawemi lub popielatemi pręgami i rudawym lub popielatym końcem.

Pod względem wyglądu samicy nie są ornitologowie do dziś dnia w zgodzie. Taczanowski, Wodzicki, Degland, Gerbe, Menzbier Dubois, Schäff dają jej upierzenie podobne do upierzenia młodego ptaka, gdy Bailly, Scharpe, uważają ją za zupełnie podobną do starego samca, tylko nieco od niego większą. Z tem ostatniem twierdzeniem zdaje się zgadzać także i Reichenow, gdyż w jego dziele p. t. „*Die Kennzeichen der Vögel Deutschlands*“ Neudamm 1902 nie znalazłem o samicy drzemliku, jakoby się upierzeniem od starego samca różniła, żadnej wzmianki.

Nasz znany ornitolog Jan Stolcman także ten pogląd podziela, uważając „Ptaki drapieżne“ Scharpe'a, wydane w katalogu British Museum (1874) za ostatnie słowo w dziedzinie wszechświatowej ornitologii i wspomina o egzemplarzu samicy drzemlika, mającej zupełne ubarwienie samca, pochodzącym z Kruszyny a znajdującym w muzeum hr. Branickich w Warszawie. W muzeum im. Dzieduszyckich we Lwowie jest natomiast 7 egzemplarzy drzemlika, z których 3 mające upierzenie młodych a więc od upierzenia starego samca bardzo odmienne, są oznaczone znakiem samicy.

Sokolik ten, mieszkaniec północnej Europy, u nas jest ptakiem przelotnym. Lecąc na południe, bawi u nas we wrześniu a wracając na północ, w marcu, kwietniu i maju. Pojedyńcze egzemplarze u nas zimują. Jest to ptak drapieżny i zuchwały i *zasługuje na tępienie.*

6) **Sokolik pustułka.** Sokół dzwonniczek, sokół wieżowy. (Cerchneis tinnuncula, der Turmfalke). W szczęce górnej ząb. Długość ciała 32 do 35 cm., skrzydła złoż. 24 do 26 cm. ogona 18 do 19½ cm. Skrzydła złożone nie dosięgają końca ogona. Różni się wybitnie od innych małych sokołów cynamonowo rudym płaszczem a od pustułeczki pazurami czarnymi, gdy tamta ma szare. Samiec ma głowę popielatą, płaszcz cynamonowo rudy, gardziel białą, spód rudawo płowy, podłużnie kreskowany, ogon popielaty z szeroką pręgą. Tęcze jasno brunatne, nogi i woskówka żółte. Samica większa od samca, różni się od niego rudą głową i rudym z wierzchu ogonem o 10-ciu pręgach, z których ostatnia przy końcu szeroka. Młode

w upierzeniu są bardzo podobne do samicy. Pustułka jest rozmieszczoną prawie po całej kuli ziemskiej. U nas pospolita, lecz na zimę na południe odlatuje. Uskutecznia to w drugiej połowie października, a powraca już w marcu. Gnieździ się po małych laskach, starych drzewach, skałach i starych murach i wieżach. Jaj niesie 4 do 5, rozmaitej bardzo formy i barwy. Zwykle są ceglaste, rdzawe lub różowe, w rozmaity sposób upstrzone. Żywi się myszami i owadami, wobec czego *jest ptakiem bardzo pożytecznym i stoi pod ochroną prawa.*

7) **Sokolik pustułeczka** (Cerchneis naumanni, der Rötelfalke). W szczęce górnej ząb. Długość ciała 29 do 31 cm., skrzydła złożonego 23 do 25 cm., ogona 15 do 16 cm. Skrzydła złożone dochodzą prawie do końca ogona.

Bardzo do pustułki podobna, tylko od niej mniejsza i upierzenie żywszymi kolorami się odznacza, ma głowę popielatą, plecy jednolicie cynamonowe, taki sam spód, tylko bledszy. Samice pustułki i pustułeczki różnią się od siebie tylko pazurkami, które u pierwszej są czarne, u drugiej szare. Tęcze brunatne, woskówka i nogi żółte.

Pustułeczka jest mieszkanką południowej Europy. W Polsce a szczególnie w Galicyi jest rzadkością. Częściej trafia się na Ukrainie i Podolu. Z obyczajów bardzo do pustułki podobna *zasługuje na bezwarunkową ochronę.*

8) **Sokolik rdzawonogi.** Sokół kobuzek, kobczyk, (Cerchneis vespertina, der Rotfussfalke). W górnej szczęce ząb. Długość ciała 26 do 30 cm., skrzydła złożonego 23 do 26 cm., ogona 13 do 14 cm. Łatwy do rozpoznania po woskówce i nogach ponsowych. Stary samiec jest popielaty, nogawice i pokrywy podogonowe ma cynamonowe, tęcze jasno brunatne. Samica zupełnie do samca nie podobna, z wierzchu popielata z poprzecznemi, czarnemi pręgami, spodem rdzawo ruda, z brunatnemi, podłużnemi plamami. Ogon z ciemnemi, poprzecznemi pręgami. Woskówka i nogi pomarańczowe. Młody ptak jest z wierzchu rdzawy, popielato falowany, pod spodem żółtawo-płowy, ogon rdzawo popielaty, z 8 pręgami czarniawemi, koniec ogona białawy, woskówka i nogi blado żółte. Ojczyzną ptaka tego jest południowo-wschodnia Europa. U nas na przelotach w maju, sierpniu i wrześniu nie rzadki, gdzieniegdzie się u nas gnieździ. Gniazda zajmuje po wronach i gawronach, niesie w czerwcu 4 do 5 jaj podobnych do postułczych.

Pożywienie jego stanowią najrozmaitsze owady, wskutek czego *jest bardzo pożyteczny i zasługuje na bezwarunkową ochronę.*

Orły.

(Aquilae, Adler).

1. **Orzeł przedni,** orzeł zyz (Aquila fulva, nobilis, chrysaëtus, der Steinadler, der Goldadler). Zdaniem niektórych ornitologów, orzeł przedni (A. fulva, der Steinadler) i orzeł zyz (A. chrysaëtus, der Goldadler) są to odrębne dwa gatunki, różniące się między sobą tem, że orzeł przedni posiada ogon od nasady do połowy biały, gdy u zyza ogon u nasady szaro-popielaty i ciemnym marmurkiem upstrzony, dalej pierwszy ma nogawice jasne lub białe, gdy u drugiego są zwykle rude.

Znacznie większa część ornitologów współczesnych (szczególnie niemieccy) łączą te dwa typy w jeden gatunek.

Orzeł przedni ma ubarwienie rdzawo i płowo-brunatne, które na głowie i karku przechodzi zwykle w ton jaśniejszy. Ogon do połowy biały lub szaro-popielaty, na końcu czarny. Upierzenie nóg sięga po palce, które są również jak i woskówka żółte. Skrzydło od 60 do 70 cm. Ogon od 35 do 40 cm.

Orzeł ten zamieszkuje całą Europę północną i umiarkowaną Azyę, również i północną Amerykę. U nas w Galicyi nie jest rzadkim, a w Karpatach się gnieździ. Na równiny zlatuje w jesieni, a w końcu lutego przenosi się w góry, gdzie w końcu marca siedzi już na jajach, których znosi zwykle dwa. Gniazda zakłada na wysokich drzewach lub skałach. Pożywienie jego składa się ze wszystkich słabszych od niego zwierząt. Nie gardzi nawet lisem i psem, a chętnie też jada i padlinę. Jest wielkim szkodnikiem i *powinien być wszędzie tępionym.*

2. **Orzeł cesarski.** (Aquila melanaetus, der Kaiseradler). Łatwy do rozróżnienia po plamach białych w kształcie litery V na obu barkach, jak również po jaśniejszym znacznie niż u poprzedniego, karku. Orzeł ten jest od orła przedniego mniejszy.

Ojczyzną jego są południowo-wschodnie części Europy i środkowa Azya. W Polsce bardzo rzadki, częściej spotykany na Ukrainie. W Królestwie zabity raz 1874. W Galicyi dotąd o ile mi wiadomo nie spotkany i muzeum im. Dzieduszyckich żadnego egzemplarza nie posiada. Ze zwyczajów życia bardzo do poprzedniego gatunku zbliżony *i jest takim samym, jak i tamten szkodnikiem.*

3. **Orlik pospolity**, orzeł krzykliwy (Aquila naevia vel pomarina der Schreiadler) znacznie od poprzedzających mniejszy, długość ciała 54 do 60 cm. skrzydła złoż. 48 do 50 cm. Upierzenie całe ciemno-brunatne, ogon taki sam pręgowany. Tęcza ciemno-brunatna. Woskówka i palce żółte. Od myszołowów, od których mało co większy, łatwy do rozpoznania po piórkach lancetowatych na tyle głowy, co jest właściwe orłom i po całkowitem upierzeniu skoku.

Orlik zamieszkuje całą strefę umiarkowaną Europy, a zimuje w Afryce. Gnieździ się po drzewach i niesie 1 do 3 jaj. Żywi się gadami, myszami, owadami i nieżywemi rybami. Szkody w zwierzostanie wyrządza chyba w wyjątkowych okolicznościach. *Zasługuje na bezwarunkową ochronę.*

4. **Orlik grubodzióby** (Aquila clanga, der Schelladler). Bardzo do poprzedzającego podobny, różni się od niego nieco większym rozmiarem ciała, mocniejszym dzióbem, nadto stosunkiem długości skrzydeł złożonych do ogona. U orła tego mianowicie sięgają skrzydła złożone do końca ogona, czasem nawet poza ogon wystają, gdy u orlika pospolitego nie dosięgają one końca ogona.

Ubarwienie orlika grubodzióbego jest ciemniejsze od ubarwienia poprzedniego, obfituje jednak w większą pstrociznę Na spodzie ciała i pokrywach skrzydłowych, znajdują się białawe lub płowe plamy, a pióra nadogonowe mają białe zakończenia.

Ptak ten jest mieszkańcem wschodniej Europy i Syberyi, zimuje w Afryce. U nas od poprzedzającego znacznie rzadszy, nie różni się od niego w sposobie życia, *zasługuje więc na takąż samą ochronę.*

Orzeł karlik, orzeł włochaty (Aquila pennata, der Zwergadler) najmniejszy nasz orzeł. Do rozpoznania od równego mu wielkością myszołowa pospolitego, łatwy po piórach lancetowatych na tyle głowy, właściwych orłom i po upierzeniu całkowitem skoku. Cechą jego jest też brunatny, jednostajnie ubarwiony, nie pręgowany ogon. Ubarwienie całkowite ulega wielu zmianom bez względu na wiek i płeć. Płaszcz jest zwykle brunatno szary, spód ciała czysto biały lub rdzawy z ciemnemi kreskami. Cechą jednak ubarwienia, której żadnemu egzemplarzowi tego gatunku nie brakuje, są dwie plamy (jedna z każdej strony) białe w pachach, widoczne po odchyleniu piór. Tęcza u młodych brunatna, u starych żółto brunatna, żywo zabarwiona. Woskowka i nogi żółte. Orzeł karlik zamieszkuje południową Europę i Azyę. U nas do rzadszych ptaków należy. Czasami jednak się gnieździ. W muzeum im. Dzieduszyckich znajduje się prócz innych, para wypchanych ptaków, zabitych przy gnieździe w r. 1864 w Wertełce koło Brodów, również jaja wybrane z tego gniazda znajdują się w muzeum. Karmi się ptakami mniejszymi a nawet kuropatwami. Jest szkodnikiem *i winien być tępionym.*

(C. d. n.)

Wspomnienia przeszłości.

ZIMĄ.

Długa grudniowa noc dobiega do końca, zwolna ustępując przed szarym porankiem. Nie spałem już od kilku godzin i co chwila z niepokojem wychodziłem na ganek, badając stan pogody, lecz obawy moje były plonne, gdyż wszystko zapowiadało się jak najlepiej: śnieg przestał padać koło czwartej rano, a że padał bez wiatru, przy lekkim tylko mrozie, więc tak upragniona ponowa obiecywała być doskonałą.

Kapryśna zima tego roku już w końcu listopada pokryła ziemię grubym całunem śniegu, którego z dnia na dzień przybywało; lekkie odwilże kolejno mieniały się z trzaskającymi mrozami, tak, że w połowie grudnia śnieg pokrył się cienką lodową powłoką, z łatwością utrzymującą na sobie lżejszą zwierzynę. Ciężkie czasy nastały dla łosi, dzików, sarn i zajęcy; zato drapieżce, wygodnie spacerując po powierzchni śniegu, codzień miały zapewnioną; łatwą zdobycz.

Naprędce spożywszy śniadanie, wyszedłem z domu i, przytwierdziwszy do nóg „ski“, pomknąłem w stronę czerniejącego lasu, który z trzech stron otaczał zwartą ścianą nasz dworek....

Jeszcze kilka posuwistych kroków, — i leśne gęstwiny zamknęły się za mną. Tu trzeba było zdjąć „ski“ i ciągnąć je za sobą na sznurku, bo śnieg w lesie nie dość jeszcze stwardniał, aby utrzymać na swej powierzchni wąskie deski, obarczone ciężarem człowieka, które w tym wypadku tylkoby utrudniały chodzenie. Szedłem krętą ścieżyną, brnąc po kolana w śniegu i czytając historyę ostatniej nocy, wydrukowaną na białym kobiercu pismem, zrozumiałem tylko dla myśliwego.

Tutaj kuna leśna, szeroko rozstawiając palce swych kosmatych łapek, pokryła śnieg dwójkami swych śladów; w poszukiwaniu żeru nie ominęła żadnego krzaczka, zajrzała nawet do wypróchniałego pnia i wdrapując się na pochyłą brzozę, strąciła kilka kawałków popękanej kory. Obok widać dwie jamki w śniegu ze śladami skrzydeł przy jednej, to jarząbek, który, chroniąc się przed mrozem, zagrzebał się na noc w śniegu, posłyszał kroki swego niebezpiecznego wroga i w porę opuścił miękkie posłanie, gdzie groziła mu niechybna zguba od ostrych ząbków krwiożerczego zwierzątka. Nieco dalej zając wyraźnie odcisnął swe długie skoki pod zwisającą ku ziemi grabową gałęzią, z której obgryzał suche liście i, pozostawiwszy kilka brunatnych kulek, chciał się zabrać do apetycznego pędu młodej osiki, lecz spłoszyły go przechodzące opodal dziki: wracając z żerowiska do głębszych ostępów, wyorały one ze śniegu swemi krótkonogiemi cielskami głęboką bruzdę: na dnie jej widać ślady tylko jednego dzika, tego, który szedł ostatni, lecz po wygładzonych brzegach łatwo poznać, że przechodziło tędy całe stado.

Spotkawszy świeży trop dziczy, poszedłem wolniej; polowanie na dzień dzisiejszy miałem już zapewnione, a ponieważ poprzedniego wieczoru wyznaczyłem sobie rendez-vous z leśnikiem Nielubowiczem na tej właśnie ścieżce, nie miałem więc poco się spieszyć.

Młode drzewka, uginając się pod ciężarem nawisłego śniegu, stały pochylone nad ścieżką, tworząc w niektórych miejscach prawdziwe barykady, pod któremi trzeba było się czołgać, żeby nieostrożnym ruchem nie strącić na siebie całej masy białego puchu. Kosmate świerki posępnie spoglądały na dół z pod białych czapek śniegu, marząc być może o minionej wiośnie. Na jednym z nich, strącając szyszki, uwijało się stadko krzykliwych krzyżodziobów; ostatnia szyszka, skacząc po gałęziach spadła na ziemię, i całe stadko, wesoło pokrzykując poleciało gdzieś dalej.

Śnieg zachrzęściał pod czyimiś krokami i na zakręcie dróżki pokazał się Nielubowicz, prowadząc na sznurku czarnego, z żółtemi łatami kundla, który wyglądem swym zdradzał zaledwie bardzo oddalone pokrewieństwo z ogarem. Niepozorny ten pies miał jednak swoje zalety i przy jesiennych i zimowych polowaniach na grubego zwierza oddawał nam nieocenione usługi, szczególnie jako tropowiec, gdyż odnajdywanie postrzałków było jego specyalnością.

Chciałem własnie podzielić się z Nielubowiczem przyjemnem odkryciem, które zrobiłem, lecz zastanowił mnie tajemiczy wyraz jego twarzy. Przyłożonym do warg palcem nakazując milczenie, zawrócił w tę stronę, z której przyszedł, i skinieniem ręki zapraszał mnie za sobą. Przeszliśmy tak w milczeniu ze trzysta kroków i znaleźliśmy się w błotnistym lesie; ścieżka przechodziła tu stopniowo w długą i wąską łączkę, na której gdzieniegdzie sterczały suchotnicze brzózki. Zdaleka jeszcze zobaczyłem, że łączkę tę przecina jakiś świeży trop; on to widocznie był przyczyną tajemniczego zachowania się leśnika, gdyż ten ostatni zatrzymał się na środku łączki i, z trudnością wstrzymując rwącego się naprzód psa, tryumfująco spoglądał to na mnie, to na wyciągnięty w jedną prostą linię szereg dużych, okrągłych śladów o wyraźnie odciśniętych na miękkim śniegu palcach. Nastąpiła krótka narada stłumionym szeptem, jakby ryś (gdyż na jego to właśnie tropie staliśmy) leżał gdzieś tuż pod najbliższym krzakiem, gdy tymczasem rzadki ten w naszym lesie gość, który, jak wiadomo, w jedną zimową noc przebywa nieraz kilka mil, mógł się znajdować już za dziesiątą granicą. Wziąwszy pod rozwagę kierunek tropu, doszliśmy do przekonania, że ryś, jeżeli nie przeszedł przez rzekę Morocz do Orlikowskiego lasu, mógł się zatrzymać tylko na „jałosnyku“*) za Widłowatą Choiną, w nieprzebytych świerkowych gęstwinach.

Nie pozostawało nam nic innego, jak otropić „jałosnyk“, żeby się dowiedzieć, czy ryś z niego nie wyszedł. Rozeszliśmy się więc w dwie przeciwne strony, umówiwszy się spotkać pod dobrze nam znaną, rozszczepioną przez piorun brzozą.

Tropienie grubej zwierzyny w naszych lasach, które zachowały jeszcze dużo pierwotnej dzikości, ma w sobie zawsze coś tajemniczego i pełne jest niewysłowionego uroku. Bodaj, że ta część polowania przyjemniejszą jest od samego strzału i okoliczności mu towarzyszących, a w każdym razie wymaga dokładnej znajomości lasu i obyczajów zwierzęcych.

Kiedyśmy się zeszli po upływie godziny u strzaskanej brzozy, zrozumieliśmy się bez słów: ryś spał smacznie w głębi jałosnyku, nie przeczuwając, że zawisła nad nim burza.

Nielubowicz, łyknąwszy na rozgrzewkę kilka haustów z myśliwskiej manierki, poszedł z powrotem na wchodny trop rysia, na którym, puściwszy psa, miał sam stanąć; ja pozostałem na miejscu. Gdy kroki leśnika zamilkły w oddali, obrałem sobie stanowisko wśród kilku niziutkich,

*) Jałosnykiem na pograniczu Białej Rusi i Polesia nazywają rosnący na bagnistym gruncie świerkowy las, niekiedy z domieszką brzozy lub olchy.

a gęstych świerczków, które doskonale mnie zasłaniając, pozwalały widzieć wszystko przed sobą, udeptałem pod nogami śnieg i zastygłem w oczekiwaniu.

Minęła jedna godzina, potem druga, a Nielubowicz nie dawał znaku życia. Mróz zaczynał dawać się we znaki, zniecierpliwienie rosło i na domiar złego nademną, na czubku wysokiego świerku usadowił się wiecznie wesoły, nie umiejący uszanować ciszy leśnej dzięcioł i swymi ostrymi okrzykami powiększał mój zły humor, przeszkadzając słuchać. Po wielu usiłowaniach udało mi się przepędzić nieproszonego gościa i znów znieruchomiałem, starając się odgadnąć przyczynę zwłoki.

Raptem z głębi lasu nieśmiało wydostał się jakiś przytłumiony, niepewny ton, jakby mu trudno było wyrwać się na swobodę z zaśnieżonych, leśnych obszarów; powtórzył się raz i drugi, zamilkł na dłuższą chwilę i znów dał się słyszeć, już znacznie wyraźniejszy i bliższy. Nie mogło być wątpliwości: to pies odnalazł rysia i pędzi go w moją stronę. Mocniej ścisnąłem strzelbę i poczułem, że gdyby w tej chwili ukazał się ryś, spudłowałbym nawet na bliską metę, tak silnie drżały mi ręce.

Tymczasem ujadanie wciąż się zbliżało, dopóki wreszcie nie zatrzymało się o kilkaset kroków odemnie, na jednem miejscu; teraz przeszło ono stopniowo w rodzaj jakiegoś gniewnego i niecierpliwego skomlenia. Nie mogąc dłużej wytrzymać na stanowisku, rzuciłem się w stronę tych dźwięków, przeskakując przez złomy i formalnie tonąc w miękkim śniegu. Pierwszą rzeczą, która mi wpadła w oczy, był pies, oparty przedniemi łapami o pień starej olchy, która w połowie swej wysokości wypuszczała kilka grubych konarów; na jednym z nich, opierając się tyłem o pień, leżał wyciągnięty ogromny ryś. Jego duże zielonawe oczy były nieruchomo utkwione w psa, niespokojnie poruszały się na uszach czarne pędzelki i od czasu do czasu jakby w ironicznym uśmiechu błyskały z pod warg białe kły.

Stanąłem, zapatrzony w ten obrazek i na chwilę zapomniałem nawet o trzymanej w rękach dubeltówce; z kontemplacyi wyrwał mnie odgłos czyichś kroków: Nielubowicz, jak kot skradając się od drzewa do drzewa, podchodził z przeciwnej strony, gotując się już do strzału. Wiedziałem, że rzadko zawodzi jego masywna pistonówka, podniosłem więc szybkim ruchem strzelbę i w chwili, gdy muszka oparła się na rudawem, centkowanem tle, spuściłem kurek. Prawie jednocześnie z hukiem strzału stoczyło się z drzewa ciężkie cielsko, wzbijając w górę cały słup śniegu.

Nielubowicz przyłożył do ust swój róg myśliwski, — i polały się tryumfalne dźwięki, niewiadomo co prawda dla kogo, bo prócz nas dwóch żywej duszy nie było w tym głuchym, w śniegach zagrzebanym lesie. Zaledwie może jaki leniwy odyniec, drzemiący w miękkim barłogu na podesłanych świerkowych gałązkach posłyszał nieprzyjemne dla swego ucha dźwięki i podniósłszy się na przednie nogi, groźnie kłapnął wyostrzonemi szablami; może głuszec przerwał skromną ucztę, składającą się z igieł sosnowych, i czujnie wyciągnął brodatą szyję. Zresztą cisza była odpowiedzią na to przeciągłe granie, i ostatnie jego dźwięki żadnego echa nie obudziły wśród drzemiących pod ciężarem okiści, zasępionych leśnych olbrzymów.

Kiedy po wielu wysiłkach i odpoczynkach, dźwigając rysia po kolei na plecach, dobrnęliśmy na brzeg lasu i przed nami rozpostarła się biała płachta martwych pól, ciemno już było zupełnie. Bezksiężycowa noc wyiskrzyła niebo tysiącami gwiazd; nie wiele się od nich różniąc drżało światełko w chacie leśnika, samotnie stojącej na skraju lasu. Z dalekich, porosłych trzciną i łozą przestrzeni słychać było chóralne wycie wilków; zaczęte nieśmiałą i ledwie dosłyszalną nutką, rosło z każdą chwilą, potężniało, przechodząc w dziką pieśń głodu, szarpiącego wnętrzności i niewysłowionej rozpaczy, aż dopóki nie zakończyło się cichą skargą, pełną bezbrzeżnej tęsknoty.

Mróz brał na noc; w jego żelaznych uściskach drzewa zaczynały jęczeć i strzelać głucho po lesie, napróżno wzywając o pomoc wyciągniętymi ku niebu konarami: czarne gwiaździste niebo obojętnie spoglądało na ich męczarnie, a mróz szerokimi krokami przechadzał się po polach i lasach. *J. W.*

„ŁOWIEC POLSKI“.

W PODRÓWNIKOWEJ AFRYCE

1905 r.

Niewydany Dziennik Podróży Pani Anny de la Motte Saint-Pierre.

Z francuskiego tłómaczył

Jan Sztolcman.

(Ciąg dalszy.)

7. lipca Guy udaje się na sprawdzenie tropów po drodze do Kalifi, gdy tymczasem ja z Henrykiem robię wycieczkę do tej wsi, aby zatelefonować do p. Mac Lean'a. Odpowiada nam natychmiast, dziwiąc się, że shikari Karisa jeszcze do nas nie przybył. Jakoż zastajemy go już po powrocie do domu. Pozostawał on pod strażą jednego z askarisów, gdyż stary ten oryginał w pośrod „palmowców Pańskich“ mógłby zapomnieć o celu swojej podróży; lubi on nadzwyczaj wino palmowe, co mu tumani zwykle jego pojęcia. Zdziwiony niepomiernie moją obecnością, zapytuje ciągle, co ma tutaj zamiar robić „bibi“ (pani)? Odpowiadam mu, że chciałabym zobaczyć „tembos“ (słonie) co go bynajmniej nie uspakaja.

Chodząc za tropami, Guy znalazł dużą kapustę kokosową, strąconą przez słonie; robimy z niej sałatę, co mojemu mężowi przypomina Martynikę, gdzie ten specyał kosztuje ni mniej ni więcej, tylko 40 fr.

O pół do jedynastej budzą mnie magiczne słowa: „Słonie są na plantacyach“! Chowamy nasz prożektor elektryczny i biegniemy wśród nocy, lecz słoni już nie zastajemy.

8. lipca wyruszamy w drogę o pół do siódmej rano Zaraz po za M'thondią natrafiamy na świeży trop dużego słonia. Puszczamy się za nim, zatrzymujemy się od czasu do czasu dla przesłuchów. Karissa się niecierpliwi, gdyż robimy zbyt wiele hałasu; a przecież my nie możemy tak „prześlizgiwać się“ w gąszczu, jak on; zresztą idziemy ciągle z wiatrem, który nas zdradza Naraz słyszymy wielki łoskot wśród poruszających się gałęzi... Niestety! Zwierz miał się na baczności. Znajdował się on zaledwie o 7 metrów od nas, na małej polance, gdzie zostawił ślady jednego ze swych kłów na pniu drzewa. Karissa mierzy z zadowoleniem tę szramę i decyduje, że to jest „kubwa“ (wielki słoń), mierzy również wysokość grzbietu na pniu

jednego z drzew, gdzie słoń potarł się swą nierówną i zabłoconą skórą. Tymczasem zwierz umyka, a paznogcie jego zagłębiają się silnie w gruncie. Idziemy śladami, gdy naraz daje się słyszeć charakterystyczny szmer żołądka [1]) i suchy trzask łamanych gałęzi. Przyznam się, że nie rozróżniam tych głosów, gdyż mi je zagłusza śpiew ptaków i huk odległej fali morskiej. Trafiam w tej chwili na maleńki grzybek, czepiający się gałęzi drzew, niby miniaturowa muszelka: grzybek ten wygląda jakby rzeźba w starej kości słoniowej, wykonana przez jakiego wielkiego artystę, i w chwili, gdy nasz stary przewodnik nasłuchuje, zadaję sobie pytanie, czy ujrzę kiedykolwiek kość słoniową surową... i „żyjącą“. Nie było mi to sądzonem, niestety! Guy upiera się, abym wróciła, co też robię. On sam przybywa o g. 5-ej, uznawszy za niemożliwy dalszy pościg przy złym wietrze i wobec niemożności obejścia zwierza: gąszcz był tak wielki, że literalnie wyjść nie można było ze ścieżki, zrobionej przez słonia.

9. lipca. Guy wychodzi o godz. 8-ej rano, uprzedziwszy Karissę, że „Bibi“ nie pójdzie dzisiaj na polowanie, co go wprawia w zachwyt; natomiast twarz jego pergaminowa wykrzywia się na wieść, że Bwana M'dogo (młody pan, czyli Henryk) weźmie udział w wycieczce.

Odprowadzam myśliwych aż do miejsca dzisiejszych tropów, poczem wracam zasmucona, że polowanie na słonie wykreślono z pośród rozrywek kobiecych. Henryk przybywa w samo południe; szczęśliwszy odemnie — słyszał trąbienie słonia. O godz. 2-ej wraca Guy, wściekły na Karissę, że zmylił tropy i poszedł śladami samicy z młodem słoniątkiem. Miała ona zamiar szarżować na myśliwych, lecz potem plan ten zmieniła. Karissa na wszystkie zarzuty odpowiada: „Jestem mistrzem w tych rzeczach“. Któżby się spodziewał tej profesorskiej zarozumiałości w starym czarowniku. Wszystkie te racye nie trafiają do przekonania Guy'a, który zabrania staremu użycia „toddy“ (wina palmowego).

Guy napotkał pięknego guib'a (*Tragelaphus scriptus*[2]), który mu pomknął z pod nóg; nie strzelał jednak do niego, aby nie płoszyć słoni.

Wieczorem czyniliśmy przygotowania do zasadzki u stóp wielkiego mangowca. Zabrano z sobą prożektor elektryczny, którym Karissa zachwyca się niby; jest to z jego strony zwykła grzeczność, gdyż wystarcza mu najzupełniej światło księżyca, jak tego dał dowód przed niedawnym czasem, zabijając z zasadzki słonia ze swej starej skałkówki. Kły, ważące 30 kilogramów, sprzedał za 100 rupij. Ten czyn kłusowniczy zaprowadził go do więzienia w Malindi, skąd wypuszczono go jedynie dlatego, aby nam zrobić przysługę.

10. lipca. Zasadzka nie dała żadnego rezultatu. Pada deszcz. Guy nie ma ochoty wyjść, lecz jeden z ludzi przynosi turkawkę, którą znalazł wraz z gniazdem na ziemi.

Drzewo, na którem znajdowało się gniazdo, było wywrócone świeżutko przez słonia, gdyż ptak był jeszcze oszołomiony upadkiem. Wygląda to na jedną z historyj myśliwskich osławionego Tartarin'a, nie mniej jednak słychać wołania: „Karissa, gunbearers, wopagasi!“ — poczem Guy wyrusza. Ja tymczasem z Henrykiem wychodzę około 11 na drogę, prowadzącą do Malimbi, aby sfotografować baobab. Wracając około niewielkiego jeziorka, usłyszałam, jak jeden z przechodniów powiedział: „Bwana-tembo“. Wracam szybko, aby się dowiedzieć, co się stało, lecz dowiaduję się tylko, że słyszano strzały w stronie Kilifi, wiedziałam zaś, że strzelano tylko do słoni... Jakżeż ten dzień się długo ciągnie! Aby czas zabić, rozmawiam z Alfredem, który mnie uczy języka Swahihi. Posłałam też po świeże jaja, aby zrobić polewkę z koniakiem.

Noc nadchodzi, aż nareszcie około 7-ej nadciąga mój mąż. Lecz przedewszystkiem trzeba wyciągnąć kolec z nogi Ongwatohy, zanim się czegoś dowiemy... Czy słoń już zabity, czy raniony, czy uszedł? Anielskiej cierpliwości potrzeba na tym świecie!

Nareszcie zasiadamy do stołu i Guy opowiada nam swoje zdarzenia:

„Już niedaleko Kilifi porzuciłem drogę i zaraz potem wpadłem na świeżutki trop słonia (mierzył około 0,48 m. długości). O 200 metrów dalej spostrzegłem, czołgając się, cztery nogi słonia: znajdował się on z dobrym wiatrem, lecz był zwrócony do mnie tyłem; okrążywszy go nieco. przybrałem trochę lepszą pozycyę do strzału i posłałem z mego cal. 450 kulę pod łopatkę na odległość 25 metrów. nie mając bynajmniej nadziei trafienia w serce, poczem zdublowałem natychmiast na chybił trafił w miękkie, słoń ruszył, puściłem się więc za nim galopem i o 100 metrów dalej spostrzegam go, stojącego na sztych. Na nieszczęście dżungla była w tem miejscu bardzo gęsta, nie mogłem dobrze rozróżniać; niemniej jednak strzeliłem w łeb z odległości 30 metrów. Słoń zrobił pół obrotu i w tym ruchu strzeliłem zrywczo po raz wtóry. Wtedy rozpoczął się czterogodzinny pościg, w którym kierowaliśmy się tropami, farbą, lub połamaną roślinnością, co nie było rzeczą łatwą wśród licznych, świeżych tropów; lecz miejscowi myśliwi dają sobie doskonale radę w takich okolicznościach; w końcu natykamy się na zwierza, który stał do nas frontem na 25 metrów. Strzelam do niego z cal. 450, mierząc doskonale w samą nasadę trąby. Słoń ugiął się na nogach i znów zrobił pół obrotu, a ja mu w tej chwili posłałem drugą kulę na miękkie. Moi ludzie widzieli strzał pierwszy i zapewniali mnie, że się znajduje w dobrem miejscu. Znów pościg i o 100 metrów dalej nowa kula w bardzo złych warunkach, jak pierwszy mój strzał, i zdublowana w identyczny sposób. Zwierz zginął mi w dżungli, a noc zaczęła zapadać. Karissa, który nie miał ochoty nocować w dżungli, bo mu zapewne było tęskno do jego „toddy“, odmówił mi sprowadzenia mego obozu lotnego; inni zaś bali się zabłądzić wśród dżungli. Musiałem więc wracać, wściekły, że nie mogę skorzystać z ostatnich odblasków zmroku, aby zwierza dogonić. Wszyscy jednak twierdzą, że jutro odnajdą go nieżywego. O kwadrans drogi ztąd usłyszałem trąbienie słonia, mniej więcej na 150 metrów odległości; szedł on prawdopodobnie zwykłą drogą do sąsiednich plantacyj. Byłem jednak strasznie zmęczony i przemokły a nadto wiedziałem że się o mnie musicie niepokoić, więc wolałem powrócić“.

11. lipca. Ruszamy drogą, prowadzącą do Kilifi, i wkrótce wkraczamy w dżunglę, gdzie przychodzimy do przekonania, że zanim znajdziemy słonia, trzeba odszukać jego tropy. Po pewnym czasie Guy obwieszcza nam, że jesteśmy na śladach postrzałka. I pomyśleć sobie, że to są tropy słonia! Widocznie, że formuła jest dla wszystkich zwierząt jednakową. Na tę wiadomość, tragarze nasi rzucają się na ziemię, aby odpocząć, a my tymczasem rozkładamy się na pięknej polance w oczekiwaniu skutków

---

[1]) Wielu myśliwych afrykańskich utrzymuje, że żołądek słonia w czasie trawienia wydaje dość silny szmer, jakby rodzaj bulgotania. *(Przyp. tłóm.)*

[2]) Rodzaj dużej antylopy. *(Przyp. tłóm.)*

tropienia. Guy wkrótce wraca, ale jakiś nie w humorze. Rozsyła w różne strony Karissę, Chandi'ego i Hassaniego, dodając każdemu po dwóch ludzi. W pół godziny potem wraca jeden z naszych ludzi z liściem, krwią splamionym. Idziemy sprawdzić, bez wielkich jednak nadziei. Chandi znalazł ślady krwawe w innem miejscu; idziemy dobrą chwilę, nie widząc jednak tropów. Naraz w miejscu, gdzie grunt był bardziej wilgotny, spostrzegamy doskonale zarysowany trop; widać też farbę, rozcieńczoną przez deszcz.

Otucha wstępuje w nasze serca; wzrasta ona jeszcze bardziej, gdy nieco dalej spostrzegamy tropy hyeny w samych tropach słonia, a dalej jeszcze ślady drugiej...

Po półgodzinnym marszu gubimy tropy, a natomiast wpadamy na świeżutki ślad bawołu. W pobliżu słychać chlupotanie się wody, jak gdyby zwierz jaki w niej się nurzał. Czyż byłby to nasz słoń? Zachowując tysiączne środki ostrożności, zbliżamy się do małej kałuży, gdzie znajdujemy już tylko ciepłe jeszcze tropy bawołu. Nie pozostaje nam nic innego, jak powrócić do miejsca, gdzieśmy tropy słonia zgubili. Odnajdujemy je, lecz ślad słonia i hyeny łączy się z tropami matki z dziecięciem. Idziemy jeszcze chwilkę po tych śladach, lecz wkrótce zaczynają się one mieszać, krzyżować i wkrótce gubimy trop naszego postrzałka.

Ja z Henrykiem pozostajemy na miejscu, a tymczasem Guy wraz z krajowcami bada grunt w jedną i drugą stronę. Oczekujemy rezultatu tej eksploracyi z niepokojem, wokoło nas kręcą się tysiące motyli i owadów wszelkiego rodzaju, co nam urozmaica do pewnego stopnia chwile wyczekiwania. Powoli naszych łowców ogarnia zwątpienie, powtarzają oni ciągle swój pewnik myśliwski: „Jeśli słoń ma zdychać, towarzysze *odwodzą* go w miejsce niedostępne, gdzie trudno go odnaleźć".

Wreszcie Guy decyduje się porzucić dalsze poszukiwania; wracamy więc smutni na drogę. Kolce nas kłują i roździerają nasze odzienie, bo porzuciliśmy już ścieżkę słoniową. Przed powrotem do obozu zakąsiliśmy jeszcze na prędce, aby głód uśmierzyć.

W obozie składa nam wizytę urzędnik celny z Kilifi, uzbrojony w parasol i dzidę. Chciałby się dowiedzieć, co się dzieje z postrzelonym słoniem. Niestety! wiemy tyle, co i on!

12 lipca. Guy robi małą wycieczkę dla sprawdzenia całego labiryntu tropów świeżych, i wraca, nie zdoławszy ich rozplątać. Karissa zaczyna się niepokoić i przygotowuje zarzewie oraz kadzidło, a następnie prosi o sztucer cal. 450, który pompatycznie okadza, powtarzając formułę, w której wyrazy: Karissa, Bibi, Bwana powtarzają się wielokrotnie. Zdaje się, że według jego zdania, jest to nieomylny środek, aby się polowanie na słonie udało. Pod wieczór udajemy się nad brzeg morski, gdzie widać świeże tropy słoni, ale jeden z poszukiwaczy miodu objaśnia nas, że słonie już odeszły.

13 lipca. Pozostajemy zawsze na miejscu, o słoniach ani słychu; czyżby się w samej rzeczy wyniosły?

14 lipca. Karissa i Mahouhia (przewodnik z M'tondii) poszli na poszukiwanie słoni. Guy znalazł nareszcie trochę czasu, aby zabić parę ptaków; zajęty jest wydmuchiwaniem jaj nurka.

P. Mackertisch przysyła nam afrykańskiego „Standarda", skąd dowiadujemy się, że zawotowano rozdział Kościoła od Państwa. Wieleż to słów i atramentu musiało kosztować. Grzeczny Anglik przysłał nam też doskonałych „mealies" (pieczone kaczany kukurydzy) i chleba świeżego. Sprawiło nam to większą przyjemność, aniżeli dziennik.

15 lipca. Mahouhia powrócił wczoraj wieczór. Dziś rano Guy wyruszył z nim o godz. 4-ej rano, zabierając ze sobą cały lotny obóz. Hassani strzela drobne ptaszki; ponieważ jednak mamy na śniadanie sam tylko ryż i soczewicę, więc Henryk posyła go na kuropatwy. Nie skarzymy się już teraz, że codzień mamy kury do jedzenia, nigdzie ich tu dostać nie można.

Henryk robi swoje rachunki, a tymczasem na dworze pada deszcz zimny; czas jest smutny. Mieliśmy już o 6-ej siadać do obiadu, aby przerwać ten przykry dzień, gdy zjawia się Guy tak przemoknięty, jakby wyszedł z samego dna oceanu. Udał się on naprzód do Roca i od tej wsi, dokąd przybył o 7-ej rano, nie zatrzymywał się ani chwilki. Zgubił on po drodze tragarza, który niósł zapas wody, i odtąd gasił pragnienie wodą deszczową, która się zbierała na rondzie jego kapelusza; za całe pożywienie służył mu orzech kokosowy, wyrzucony przez morze. Mnóstwo starych tropów słoniowych zmusiło go do przebycia lasu, aż na skaliste urwiska przy brzegu morskim. Po drodze zabrał pentarkę, złowioną w sidła, (rodzaj kolczastego płotu, w ktorym co pewną przestrzeń, są zastawione pętle). Deszcz nie pozwolił mu na upieczenie tej zdobyczy, jak również dwóch rekinów, które zabił ze swego cal. 450 z wysokości skał nadbrzeżnych. Po tem wszystkiem nastąpił strasznie przykry powrót po ostrych brzegach skalistych, które cięły i kłuły nogi. W pośród tych grzbietów roślinność ukrywała miejscami głębokie przepaście, na dnie których huczało morze. Dziwić się należy zręczności słoni i bawołów, które włóczą się tu chętnie, gdyż wszędzie spotykano ich tropy. Myśliwi spostrzegli nawet młodego bawołu na odległość pięciu metrów, lecz szkoda było nawet strzału do tego byczka. Może to nawet dobrze, że Opatrzność ustrzegła Guy'a od jakiego spotkania, gdyż ta dżungla nadbrzeżna składa się z gałęzi poplątanych i trudnych do przebycia, rodzaju karłowatych dziwoklów [1]), w pośród których można tylko postępować przy pomocy noża. Mnóstwo tu ptactwa morskiego, lecz deszcz rzęsisty i noc zbliżająca się, nie pozwoliły uganiać się za niem.

(C. d. n.)

Korespondencye.

Monasterzec, dnia 21. marca 1907.

Dziki w szopie.

W sąsiedniej wsi Sprynie, chłop Iwan Makar, z końcem lutego b. r. zabił kołem dzika w szopie.

Usłyszał on około godziny 9. rano sapanie jakichś żyjących istot w swej, przy stajni przybudowanej, drzwiami niezaopatrzonej, szopce.

W szopce znajdowały się resztki liści i trawy leśnej t. zw. ściółki.

Zawołał sąsiada Jakima i razem z nim wszedł, z kołem w rękach, do szopki. Gdy weszli, ujrzeli poruszającą się ściółkę i wyłaniający się z niej czarny łeb dzika. Jednem uderzeniem koła w łeb zabił Makar jedną sztukę, podczas gdy druga sztuka umknęła tuż koło nóg przestraszonych chłopów.

Zabity warchlak miał być chudym, wynędzniałym. Sąsiedzi Makara słusznie dziwią się, iż dziki, mimo dojenia krów i wypędzenia ich do pójła na rzekę, z legowiska nie ruszyły.

[1]) Dziwokle *(Rizoophora)* gatunek drzew, rosnących w krajach podzwrotnikowych, w ujściu rzek do morza. *(Przyp. tłóm.)*.

Ja tłómaczę sobie to, bądź co bądź niezwykłe zdarzenie, tem, iż zgłodniałe warchlaki wyszły w nocy z lasu na pola za żerem, tu nie znalazłszy pożywienia w dostatecznej ilości, zeszły ze stromej, śniegiem głębokim zasypanej pochyłości w dolinę pod chałupy. Powracać tą samą drogą, było ponad siły głodem wycieńczonych warchlaków, szukały więc schronienia w bliskości, no i znalazły je w liściach, w otwartej szopce.

Dzikom źle się dzieje tej zimy w lasach. Wielkie śniegi utrudniają im żywienie się. U mnie, w gąszczach szpilkowych, poprzyginanych ciężarem śniegu do ziemi, porobiły dziki formalne krużganki, z których ludziom wyprzeć się nie dają,uderzając w tył. Z tych krużganków często przez kilka nocy nie wychodzą.

St. Frank.

W jednym z zimowych numerów „Łowca“ (strona 33), znajduje się korespondencya J. A. Ł., w której autor wyraża przekonanie, że: „poznawanie rogacza w zimie, to dobra przyjemność dla gimnazyalisty, kto ma bowiem sposobność częstszego polowania i nie najgorszy wzrok, temu trudności żadnej nie sprawia poznanie rogacza, nawet po talerzu. Strzał zaś śrutem do rogacza stawiam na równi z ładnym strzałem do chróściela i zdaniem mojem rogacza powinno się strzelać tylko kulą“.

Przedewszystkiem zastrzegam się, że jestem zupełnie tego samego zdania z Szan. korespondentem co do tego, że rogaczowi należy się kula i to na podchodnem lub podjeździe i w czasie, gdy rogacz nosi rogi, bo ten sposób polowania nie tylko myśliwemu zapewnia największą sumę estetycznych wrażeń, lecz jest ze względów hodowlanych najodpowiedniejszym. Pozostałe zaś rożki stanowią wysoce miłą, a czasem wartościową pamiątkę. Przy tem wyrabia się zmysł krytyczny co do oceniania jakości rożków, zmysł, którego u nas przeważnie brak się spostrzega. Znam właścicieli polowania, u których rożki należały z reguły do kucharza. Znam leśników, którzy nie wiedzieli, że rogi odpiłowuje się z częścią czaszki, lecz odłamywali je pojedyńczo.

Wogóle zaś nawet między lepszymi myśliwymi panuje zupełna ignorancya, co do tworzenia się rogów i obce są im nawet elementarne wiadomości z tej dziedziny.

Gdy na zimowem polowaniu strzelony zostanie szpiczak z rożkami, pewnie okrzyknięty zostaje jako t. zw. Kümerer (mylkus), a szczęśliwy strzelec twierdzi zwykle, że to „gruby“ rogacz.

U nas tylko w kilku większych majątkach strzela się już od dawna rogacze przeważnie w lecie, odstrzał zaś zimowy ogranicza się do kilku lub kilkunastu sztuk.

W ostatnich dopiero latach na tereny nasze wcisnął się zagraniczny gość z dobrze naładowaną kieszenią „nervus rerum“, i płacąc wysokie wynagrodzenie za prawo odstrzału, rozmaitymi „halbmantlami“, a z pomocą optyki „Voigtländera, Zeissa, Henroldta“ itp., przeprowadza nasze rogacze na rzeczywiście bajeczne odległości — w nirwanę.

Różne mogą być zdania co do systemu wykonywania łowiectwa — ja z mej strony dodam tylko, że wiele terenów łowieckich obecnie przy tym systemie daje z łowiectwa coraz większy zysk finansowy i w pewnych warunkach np., gdy sam właściciel nie może lub nie chce polować — sposobu tego bezwzględnie potępiać nie można.

Z chwilą namnorzenia się tych zamorskich łowców personal nasz łowiecki widząc, z jakim pietyzmem myśliwi ci oceniają rogi i z rogami się obchodzą — zaczyna nabierać zrozumienia tego przedmiotu. A ileż to rogów t. zw. „rarytetów“, czy to pod wzdlędem rozmiarów końców, czy też operlenia, znajduje się w kraju naszym. Zdarzało mi się widzieć takie okazy — czasem tylko jedną parę — w ubogiej chacie leśnego, a wprost przepyszne choć zwykle nie liczne zbiory u leśników zawodowych.

A ile rożków takich od kłusowników dostaje się do rąk żydków za śmiesznie niskie ceny — i o tem mogę coś powiedzieć; towar ten, czasem okazy „kapitalne“ — wędruje potem do głównych kupców tu w kraju, a ci sprzedają go w większych partyach do Niemiec i w ten sposób z kraju raz na zawsze znikają rożki, czasem prawdziwe „unikaty“.

Zamierzona wystawa rogów, gdyby rzeczywiście zdołała zgromadzić rozprószone po kraju okazy, byłaby niezawodnie imponującą co do jakości, bo oprócz północnego typu rogacza (syberyjski, altajski itd.), rogi naszych rogaczy pod każdym względem, a zwłaszcza, co do grubości i uperlenia, wagi i szlachetnych form, są pierwszorzędne.

Wystawa ta wreszcie niezawodnie skłoni wielu właścicieli terenów łowieckich do strzelania rogaczy, przeważnie w lecie, nauczy cenić i kwalifikować rogi, oraz prawidłowo się z nimi obchodzić. Zbiory w kraju będą się powiększać i będziemy mogli urządzać częściej wystawy, tak jak to nasi sąsiedzi z zachodu oddawna już czynią, chociaż wystawiane okazy nie mogą z naszymi współzawodniczyć.

Po tem mimowolnem zboczeniu od zamierzonego tematu, wracam do wzmiankowanej korespondencyi J. A. Ł. Otóż niezawodnie większość myśliwych, czytając ów zacytowany ustęp uczuła, że J. A. Ł., stanowczo przesadnie się wyraził.

Przecież każdy z nas wie, że to nie rzecz studencka, poznawanie rogacza. Ileż to kombinacyi — momentów zmiennych utrudnia czasem poznanie nawet mistrzowi w tym kierunku. Strzał zaś najczęściej także nie taki, jak do chróściela, bo właśnie najlepszą do strzału chwilę traci się zwykle na poznanie. Każdy z nas przypomni sobie, jak stosunkowo mały procent myśliwych poznaje dobrze rogacza i stanowczo, kto tę zdolność posiada w wyższym stopniu, to jako myśliwy jest w swojem kółku wyżej ceniony. Być może, że Szan. autor korespondencyi jest mistrzem nad mistrzami w sztuce poznawania rogacza bez rogów — jeżeli tak lekceważąco się o tem wyraża. Co do mnie, sam nie źle poznaję rogacza, a chociaż niechętnie strzelam go bez rogów, to przecież właśnie w tem polowaniu chwila poznania stanowi emocyę (a dodam, że gimnazyum, względnie realną już dawno ukończyłem). Mistrzów zaś w poznawaniu rogacza znam tylko kilku i na tych my zwyczajni, patrzymy z prawdziwym szacunkiem. Nie przypuszczam zaś, aby w dzisiejszym wieku „cudownych dzieci“ i na tem polu także cudowne kwiaty wyrastały.

Bardzobym się cieszył, gdyby więcej myśliwych zechciało swe zdanie w sprawie tej wyrazić, a mam nadzieję, że odosobniony nie zostanę z mojem zapatrywaniem.

A. R. R.

Rohatyn, 16. kwietnia 1907.

Zawiązane w r. 1901 Towarzystwo myśliwych w Rohatynie, licząc obecnie 25 członków, rozwija się pomyślnie i dzierżawiąc prawo polowania na gruntach tak gmin-

nych jak i dworskich, w 20 okolicznych gminach, dokłada wszelkich starań do podniesienia zwierzostanu, a zwłaszcza kuropatw, które ostatniej zimy mimo sypania im pokarmu w rewirach, tak ucierpiały, że trzeba było teraz z wiosną sprowadzić kilkanaście par z Czech na rozpłodek. Również i sarny doznają u nas szczególniejszej pieczy i dostają zawsze w zimie pokarm, który niestety w ostatnim sezonie nie wiele im pomógł i wiele z nich zginęło, zapadając po jarach i parowach w śniegi zbyt wysokie.

Obecnie, chociaż nastała już wiosna, niema dla sarn na razie żadnego pokarmu, bo pola ani też lasy jeszcze się nie zazieleniły, i należy przypuszczać, że jeszcze niejedna z nich padnie wskutek chorób zakaźnych, których tak łatwo nabawić się mogą.

Zające najmniej ucierpiały, ale i tych spotyka się znacznie mniejszą liczbę, niż na wiosnę zeszłego roku, a młodych dotąd nie widzieliśmy.

Nasz sezon ostatni rozpoczęliśmy już z dniem 3-go listopada 1906 r. i mimo dżdżystej aury polowaliśmy w Jawczu, gdzie w 6 strzelb padło 8 zajęcy.

Dnia 10. listopada 1906 w Babuchowie i Załużu w 7 strzelb padło 17 zajęcy.

Dnia 17. listopada 1906 w Pukowie w 6 strzelb padło 2 zajęcy i 2 lisy.

Dnia 24. listopada 1906 w Pukowie w 5 strzelb padło 5 zajęcy i 1 rogacz.

Dnia 1. grudnia 1906 w Kleszczównie w 7 strzelb padło 22 zajęcy.

Dnia 7. grudnia 1906 w Podgrodziu w 15 strzelb padło 20 zajęcy.

Dnia 15. grudnia 1906 w Załanowie w 19 strzelb padło 27 zajęcy, 1 jarząbek i 1 dzik.

Dnia 18. grudnia 1906 w Podgrodziu w 7 strzelb padło 4 zajęcy i 1 rogacz.

Dnia 21. grudnia 1906 w Zalipiu w 11 strzelb padło 40 zajęcy i 2 rogacze.

Dnia 24. grudnia 1906 w Podwiniu w 5 strzelb padło 7 zajęcy i 1 lis.

Dnia 29. grudnia 1906 w Podgrodziu w 11 strzelb z powodu zamieci śnieżnej wzięto zaledwie 4 mioty i ubito w nich 6 zajęcy.

Dnia 5. stycznia 1907 we Firlejowie w 7 strzelb padło 15 zajęcy.

Dnia 12. stycznia 1907 w Załanowie w 12 strzelb padło 21 zajęcy, 2 jarząbki i 2 dziki.

Dnia 17. stycznia 1907 w Podgrodziu w 6 strzelb ubito 10 zajęcy i 1 rogacza.

Dnia 26. stycznia 1907 w Załanowie w 8 strzelb padło 25 zajęcy i 4 dziki.

Wreszcie dnia 31. stycznia 1907 w Zalipiu w 16 strzelb ubito 48 zajęcy, 1 rogacza i 1 lisa.

Prócz tego w jesieni polowali członkowie Towarzystwa na polach w pojedynkę i w ten sposób zastrzelono 65 kuropatw, 76 zajęcy i 1 rogacza. Z przepiórkami prawie się nie spotykano i nie ubito ich więcej jak 15 sztuk.

Po skończonym sezonie zimowym z dniem 31. stycznia 1907 często dawała nam straż łowiecka wiadomość o zaległych dzikach w rewirach w pobliżu Rohatyna położonych, z powodu jednak zwykle spóźnionej pory lub też braku nagonki, bo z psami u nas polować nie wolno, nie mieliśmy ochoty brnąć za nimi głębokimi śniegami, aż nareszcie z końcem lutego przy pięknej pogodzie wybrał się po obiedzie zaalarmowany prezes Towarzystwa, pan Jan Stenzel do Podgrodzia i tam już przed wieczorem położył na jednem stanowisku 4 duże dziki, napędzone na niego przez straż leśną, składającą się z trzech ludzi.

Tegoroczny ciąg słonek bardzo słaby, widziano parę razy po 2 lub 3 sztuki, ale nie ubito żadnej.

Jan Sokulski
sekretarz Tow. myśliwych w Rohatynie.



Galicyjski Klub hodowli i tresury psów myśliwskich.

Posiedzenie Zarządu gal. Klubu hodowli i tresury psów myśliwskich dnia 25. maja 1907 o g. 4 popoł.

Obecni: Prezes p. Matkowski. Wiceprezes p. Mniszek. Członkowie pp.: Żurowski, Münter i syndyk dr. Władysław Sołowij.

Prezes oznajmia, że protektorat nad tegorocznymi popisami polowymi psów legawych objął Książę Ordynat Andrzej Lubomirski, co z wielkiem zadowoleniem przyjęto do wiadomości.

Wiceprezes przedkłada zamknięcie rachunków za rok 1906 i preliminarz na rok 1907, które Zarząd przedłoży Walnemu Zgromadzeniu do zatwierdzenia.

W końcu uchwalono, że **Walne Zgromadzenie odbędzie się dnia 3 lipca b. r. o godzinie 4 popołudniu w lokalu gal. Towarzystwa łowieckiego, ulica Jagiellońska l. 3.**

Sprostowanie.

W numerze 10 „Łowca“ z dnia 16. maja 1907 r., w artykule p. t. „Przegląd naszych ptaków łownych“, w ustępie: Ścierwnik biały, wydrukowano mylnie: Wyższa część szyi i wierzch głowy, *nogi żółte*. Ma być: Wyższa część szyi i wierzch głowy *nagie i żółte*.

Drobne ogłoszenia i inseraty.

Nowa kolejka leśna w Galicyi. W Turce nad Stryjem wybudowaną została wąskotorowa kolejka leśna o długości kilkudziesięciu kilometrów, własność znanej firmy drzewnej Lajos Kriser.

Dostawa całego parku wozowego złożona z 70 wózków etc. poruczoną została firmie Roessemann i Kühnemann (generalny reprezentant p. Juliusz Weiss) we Lwowie.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. — Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek.